

MAREK SZALSZA

Schyłek szatranu



Marek Szalsza

Schyłek szatragu

Gdańsk 2015

Autor

Marek Szalsza (ur. 1967 w Zabrze), pisarz i tłumacz. Dzieciństwo spędził w Katowicach i Gdańsku, mieszkał w Wiedniu, obecnie w Sopocie. Publikował opowiadania w czasopismach i antologiach. *Schylek szatranu* to jego pierwsza powieść.



Parametry techniczne

objętość: 584 strony, format 150×225 mm

oprawa twarda

ISBN 978-83-64134-08-1

cena 44 zł

Opis książki

Schylek szatranu – debiutancka powieść Marka Szalszy – to groteskowa kreacja, stanowiąca studium obłądu wypuszczonego na żyzny grunt głupoty, ignorancji i fanatyzmu.

Główny bohater, Izydor, od dzieciństwa nosi w sobie poczucie misji zwalczania zła. Przekonany, że padł ofiarą prześladowań ze strony człowieka, umięjącego przebrać się za dowolną osobę, łąduje w końcu w klinice psychiatrycznej. Po latach, wypuszczony dzięki fortelowi, usiłuje prowadzić normalne życie w warunkach nowej rzeczywistości. Równoległe poznajemy wątki sześciorga pozostałych lokatorów kamienicy, w której zamieszkał. Każdy z nich kieruje się własną obsesją, prezentując odmienną wizję świata, opartą na fantazjach, zmyśleniach, stereotypach, pogłoskach, legendach miejskich, kaczkach dziennikarskich i innych nonsensach.

Izydor, wykazujący oddanie sprawie, poparte wariacką lecz spójną logiką, staje się liderem sąsiadów, którzy odnajdują w jego obłądzie wzmocnione odbicie własnych obsesji. Pod jego przywództwem bohaterowie, wyposażeni w ideologię, plany bojowe i wspólne posłannictwo, przeprowadzają rozmaite akcje wycelowane w domniemanych wrogów, którzy, choć początkowo zróżnicowani, dzięki omyłkom i nie-domówieniom zdążyli w umysłach sąsiadów przybrać jednolitą postać.

Świat powieściowy stopniowo dostosowuje się do wyobrażeń bohaterów, którzy uzyskują potwierdzenie swoich najbardziej niedorzecznych obsesji, przez co każdy zostaje skonfrontowany z domniemanym złem w postaci budzącej jego najwyższą grozę.

Książka nagrodzona w Konkursie Literackim Miasta Gdańska im. Bolesława Faca za rok 2014.

Spis rzeczy

CZĘŚĆ PIERWSZA

Preludium zoologiczne	7
Rozdział I: Szlachetne powołanie	11
Rozdział II: Sukces neurologii	21
Rozdział III: Wykłady domowe	28
Rozdział IV: Sukces psychologii	33
Rozdział V: Inwazja z Marsa	41
Rozdział VI: Kleber	47
Rozdział VII: Sojusze (I)	55
Rozdział VIII: Tropiciele	62
Rozdział IX: Sukces psychiatrii	67
Rozdział X: Sojusze (II)	75
Rozdział XI: Wypnany walet	80
Rozdział XII: Dwie przeprowadzki	86
Rozdział XIII: Sojusze (III)	92
Rozdział XIV: Pytia z ulicy Akacjowej	99
Rozdział XV: Nagonka	105
Rozdział XVI: Sojusze (IV)	112
Rozdział XVII: Prawo do przestrzeni życiowej	115
Rozdział XVIII: Objawienie	122

CZĘŚĆ DRUGA

Intermezzo: Poranek w wielkim mieście (I)	129
Rozdział XIX: Pierwszy zwiad w Domu Seniora	131
Rozdział XX: Powszechna mobilizacja	138
Rozdział XXI: Początek krucjaty	143
Rozdział XXII: Wielka trwoga	155
Rozdział XXIII: Rycerz urzędów	166

Rozdział XXIV: Furgonetka z dynamitem	192
Rozdział XXV: Cicha ubojnia w skarbowce	203
Rozdział XXVI: Nieprzekupni	232
Rozdział XXVII: Wybawiciel	245

CZĘŚĆ TRZECIA

Intermezzo: Poranek w wielkim mieście (II)	265
Rozdział XXVIII: Pojedynek	267
Rozdział XXIX: Akcja zaczepna	277
Rozdział XXX: Wejściówki, zbiry i szybki ślub	308
Rozdział XXXI: Wielki Dzień Współpracy Polsko-Niemieckiej w Dzielnicy Centrum	325
Rozdział XXXII: Bankiet	336
Rozdział XXXIII: Noc potwierzeń	377
Rozdział XXXIV: O świcie	423

CZĘŚĆ CZWARTA

Intermezzo: Poranek w wielkim mieście (III)	433
Rozdział XXXV: Fortyfikacje	435
Rozdział XXXVI: Oblężenie	444
Rozdział XXXVII: Masa krytyczna	462
Rozdział XXXVIII: Odejście wojownika	477
Rozdział XXXIX: Błękitne oczy	495
Rozdział XL: Szturm	509
Rozdział XLI: Oświadczyzny	523
Rozdział XLII: Statek	528
Rozdział XLIII: Dysputa religijna	537
Rozdział XLIV: Odległy port	547
Epilog	560
Od autora	575

Fragment tekstu

Preludium zoologiczne

Na tyłach domu przy ulicy Akacjowej 44 mieścił się rachityczny ogródek, w którym zgromadziła się teraz grupka zwierząt. Nadchodził wieczór wigilijny. Mimo chłódów wciąż jeszcze nie było śniegu. Zbliżał się jedyny moment w roku, kiedy zwierzęta mogą porozmawiać: nie z ludźmi, jak głosi myląca legenda, lecz ze sobą, międzygatunkowo. Tego wieczoru na dole zebrały się: sowa pójdzka, amstaf, kotka, mopek długouch oraz patyczak. Lokator spod trójki nie miał zwierząt, przynajmniej takich, o których by wiedział, a jego sąsiad z naprzeciwka, hodujący małą rybkę, nie wpadł na pomysł, żeby znieść akwarium do ogródka. Patyczak, nowy w tym towarzystwie, trzymał się nieco z boku. Pozostałe zwierzątki skupiły się wokół jedynego drzewa i obserwowały niebo, oczekując chwili, kiedy wreszcie będą mogły zacząć mówić. Ludzie siedzący w swoich mieszkaniach czekali na ten sam moment, żeby zapalić choinkowe świeczki. O siódmej atmosferę przeciął krótki, migotliwy rozbłysk. Nastąpiła gwiazdka. Zwierzętom z miejsca rozwiązały się języki.

– Fatalny rok – podsumowała kotka.

– Wręcz totalnie przerąbany – zgodził się mopek.

– Chujowizna – mruknął amstaf.

– Potraficie tylko narzekać – stwierdziła sowa. – Dlaczego tak uważacie?

– Wyobraźcie sobie... – zaczęła kotka, lecz mopek wpadł jej w słowo:

– Wszystkie muchówki capiły siarką. W telewizji wciąż te same nudy.

Na strychu załagał się grzyb. A co najgorsze: nic a nic sobie nie pociupciałem. Wystarczy powodów?

– No właśnie – powiedział amstaf. – Musowo, że nie.

– Seks nie jest w życiu najważniejszy – pouczyła ich sowa.

– Taa, akurat – odparł mopek. – A niby co miałyby być ważniejsze?

– Rozwój etyczny i duchowy – oświadczyła pójdzka, która należała do zawodowej wróżbitki spod numeru drugiego.

– Chociaż... – zmarszczył brwi pies. – Ale nie. To chyba nie było...

– Jeśli nie będziesz akceptował swojej karmy – ciągnęła sowa, dla dodania sobie powagi kiwając głową przy każdym zdaniu – może się zdarzyć, że w następnym wcieleniu znów przyjdiesz na świat jako nietoperz.

– Wolę być nietoperzem niż nawiedzoną sówką – odciął się mopek.

– Znaczy, wyszło tak – monologował amstaf. – Ja gryzłem, a jamnik leżał i kwiczał. Jarzysz, koleżko? I wtedy przyleciała ta stara z linką...

– Mamy nowego lokatora – przerwała mu kotka, wskazując na patyczaka.

Przez chwilę wszyscy bez słowa przyglądali się owadowi.

– To jakiś cienias – stwierdził amstaf, własność domorosłego pakera spod jedyńki. – Rozłożyłbym go jedną łapą.

– Nie krępuj się – powiedziała kotka.

Pies rozważył propozycję i rzekł:

– Dobra, tylko poczekam, aż mnie czymś wkurzy.

– Myślałam, że jego wygląd jest dla ciebie dostatecznie wkurzający.

Spójrz na te uszy.

– Owady nie mają uszu, tylko czułki – wtrąciła sowa.

– Gdzie on właściwie mieszka? – zainteresował się mopek.

– Pod piątką, tak jak ja – prychnęła kotka. – Nazywa się toto „sublokator”.

– Czemu go nie lubisz? – ujęła się za patyczakiem pójdzka. – Nie należy oceniać człowieka po wyglądzie.

– Człowieka? Przecież to jest wstrętny robal.

– Zacytowałam tylko maksymę. Pod mizerną powłoką niejednokrotnie skrywa się wartościowa jednostka. Kto wie, czy to nie jogin? On mi nawet wygląda na ascetę. Hej, patyczku! – zawołała. – Czy ty przypadkiem nie jesteś buddystą?

Owad nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

– Mówiłam, że to gbur – odezwała się kotka. – Niedługo mi się rozmnoży po całym mieszkaniu.

– Głupia jesteś. Jak ma się rozmnożyć bez panienki? – powiedział mopek, który nabrał sympatii do patyczaka. – A nie odzywa się, bo nas nie słyszy tymi czułkami.

– Kto go tam wie, może rozmnaża się sam z siebie? I za parę tygodni będzie go tysiąc – wzdrygnęła się kotka. – Skręciłabym mu kark, tylko że w Wigilię nie wypada.

– Mnie w sumie ten koleś też nie podchodzi – odezwał się amstaf. – Sam nie wiem czemu, ale nie lubię takich cherlaków.

– No widzisz, robi ci na złość – judziła kotka. – Specjalnie się wychudził, żeby cię sprowokować.

– Przestańcie – powiedziała sowa – bo będzie mu przykro. Nawet jeśli nic nie słyszy, na pewno wyczuwa emanującą z was negatywną energię. Mam myśl: nawiążę z nim kontakt telepatyczny i przekażę mu w imieniu nas wszystkich świąteczne życzenia.

Głęboko wciągnęła powietrze, chcąc wprawić się w trans. Tymczasem kotka wstała i mrużąc oczy, podeszła nieśpiesznym krokiem do patyczaka. Zamierzała pogardliwie trącić go ogonem, ale owad uprzedził jej ruch i wdrapał się na okalający płot.

– Dość! Wiem już o was wszystko – zawołał niespodziewanie. – Stanowicie kwintesencję pospolitości. Wasze ciasne umysły niezdolne są do pojęcia jakiegokolwiek wznioślejszej idei. Potraficie tylko bezrozumnie powtarzać to, co mówią ludzie. Szlachetny czyn obcy jest waszej przyziemnej naturze. Precz ode mnie, nikczemna hołoto! Nie mamy sobie nic do powiedzenia!

To rzekłszy, zeskoczył na trawę i oddalił się krokiem pełnym godności. Zwierzęta siedziały przez moment niezbyt inteligentnie rozdzielone.

– Kto by pomyślał – odezwała się w końcu sowa.

– A nie mówiłam? Złośliwy wariat – miauknęła kotka. – Załatwcie go, zanim narozrabia.

– Wyglądał tak niewinnie i bezradnie...

– Od dawna nie miał panienki, więc mu trochę odbiło – wysnuł domysł mopek.

– Nie, no, koleżko, teraz to jestem poważnie wkurzony – warknął amstaf i skoczył do przodu. – Gdzie on się podział?

– W domu – odparła kotka. – Tym razem mu się upiekło.

– Jak go dorwę, to rozszarpię na strzępy – wściekał się pies. – To jest... to jest... pedał! – wykrztusił z nienawiścią.

– Bez wątpienia – przytaknęła kotka.

– Pedałom śmierć – szczeknął amstaf.

W ogródku zapadło milczenie. Pojedynczy powiew wiatru sprawił, że zwierzęta skuliły się z zimna.

– Nieźle daje – stwierdził mopek. – Aż pindol odpada.
Inni nie skomentowali tego. Po chwili odezwała się sowa:
– No cóż. Jak każdego roku w tym dniu chciałabym wszystkim wam życzyć...

Drugi meteor przeciął ciemne niebo i zwierzęta momentalnie utraciły dar mowy. W ostatnim przeblysku rozumu, pokiwały do siebie głowami, po czym rozeszły bądź rozfrunęły się po swoich siedzibach.

Zza chmury wyszedł księżyc, którego promienie spowiły dom i ogród chłodnym blaskiem. Oprócz rodziny spod piątki każdy z lokatorów rozpakował już prezenty, które wcześniej ułożył pod choinką, i podziękowawszy sobie samemu, zasiadł do wigilii.

Rozdział I: Szlachetne powołanie

Izydor Spengler już jako małe dziecko czynnie opowiadał się po stronie dobra, a tym samym przeciwko złu. Pierwszą interwencję przeprowadził w kinie na burlesce o strażakach. Kiedy gruby sierżant uraczył sympatycznego bohatera dziesiątym kopniakiem, Izydor zerwał się z miejsca, podbiegł do przodu i dobytym z pochewki plastikowym mieczykiem, bez którego nigdzie się nie ruszał, ostro natarł na brutalnego gburę. „Uciekaj, Czeplinie!” – krzyczał, z dziką furią okładając ekran. Wąsaty człowieczek w meloniku rzeczywiście czmychnął, a przerażona matka oraz pracownik kina musieli się zdrowo natężyć, zanim odciągnęli od ekranu wojowniczego czterolatka. Zgromadzona w sali dziecięca publiczność nagrodziła go spontanicznym aplauzem. Okłasków tych chłopiec nigdy nie zapomniał: na pierwsze skinienie pamięci rozbrzmiewały mu w uszach, niczym łopot olbrzymich skrzydeł niosących go ku glorii.

Matka Izydora, eksksięgowa, która spełniając marzenie swojego życia, zatrudniła się w kwaciarni, i jego ojciec, były sztangista, który porzucił sport, żeby zostać pracownikiem telekomunikacji, poznali się podczas urlopu w nadmorskim kurorcie. Ich romans rozpoczął się przed telewizorem w świetlicy domu wczasowego, w której oboje spędzali większość czasu. Wkrótce po ślubie zrozumieli, że łączy ich jedynie miłość do telewizora. Okazało się to wystarczające do stworzenia harmonijnego

związku: być może dlatego, że nigdy nie kłócili się o wybór kanału, z równym zainteresowaniem oglądając Jedynekę i Dwójkę. W przerwach między programami pośpiesznie omawiali bieżące tematy. Zwykle mówili równocześnie, nie kolidując ze sobą, jako że tubalny bas ojca rozlegał się w zupełnie innych rejestrach niż igielkowy dyszkant matki. Dla leżącego w kołysce Izydora głosy rodziców stanowiły dwa bieguny przestrzeni akustycznej, którą wypełniały setki różnych dźwięków. Mając pół roku, odkrył, że ich źródło stanowi telewizor, stale włączony w jadalni. Chłopiec przez długi czas sądził, że jest to czwarty, nieco inaczej skonstruowany członek rodziny, uśmiechał się więc i gaworzył do niego zapamiętale, a telewizor odpowiadał mu na swój sposób.

Skończywszy rok, Izidor nauczył się chodzić. Matka nie popierała tej nowej formy aktywności.

– Upadniesz i będziesz płakał – przestrzegła proroczo. – Lepiej sobie usiądź.

Prędzej czy później niemowlak przewracał się i wybuchał płaczem.

– A nie mówiłam? – wołała, biorąc go na ręce. – Nie płacz, bo się zakrztusisz – i chłopczyk krztusił się posłusznie.

Żeby ustrzec go od licznych niebezpieczeństw, matka kupiła kojec, w którym Izidor przesiedział, z przerwami na posiłki i spacer, cały następny rok. Dzięki temu wcześniej przyswoił sobie umiejętność oglądania świata przez pręty, co miało mu się kiedyś bardzo przydać. Skończywszy dwa lata, nauczył się mówić. Odbłyło się to dość nietypowo: dotąd nie mówił w ogóle nic, nagle, z dnia na dzień, umiał już powiedzieć wszystko. Natychmiast w dobitnych słowach dał wyraz swojej nienawiści do kojca. Stropiona matka zgodziła się na przedterminowe zwolnienie, lecz postawiła twardy warunek: Izidor pozostanie pod ciągłym nadzorem wynajętej opiekunki. Polecona osoba, tłustowłosa emerytka o monstualnych uszach, z miejsca wzbudziła w nim żywą odrazę. Swoje zadanie wykonywała jednak dobrze, a jej zaiste genialny słuch spełniał funkcję trzeciego, zdalnego oka. Izidor wciąż testował skuteczność tego żywego systemu alarmowego.

– Ma nie łązić po szafach – mówiła nienawistnym, monotonnym głosem, siedząc dwa pokoje dalej nad gazetą z nekrologami. – Spadnie, połamie giczoły i wyląduje w szpitalu, a jak się wda gangrena, to może nawet na cmentarzu.

Myśli opiekunki stale krążyły wokół śmierci i grobów. Gdy chowano kogoś, kogo znała choćby ze słyszenia, brała wychodne – albo ciągnęła ze sobą Izydora, który w ten sposób bardzo wcześnie zaliczył kilka modelowych pogrzebów. Ponieważ jednak nie przejawiał zainteresowania tematyką funeralną, uważała że jest cośkolwiek niedorozwinięty. Z litości i poczucia obowiązku przytaczała mu różne pouczające egzempli. Pracownik pobliskiej huty wpadł do kadzi z płynnym żelazem, a gdy nie dało się wyizolować roztopionych zwłok, w grobie umieszczono całą stutonową kadź. Dziewczynka pogłaskała na ulicy bezpieczeństwa kota i potarła sobie oczy, a wkrótce ogromne białe larwy wypchnęły jej gałki z oczodołów. Chłopiec połknął pestkę wiśni i w brzuchu wyrosło mu drzewo. – Dzięki takim dykteryjkom rzeczywistość stopniowo przesiąkała magią.

Izydor męczył się z opiekunką cały rok, tęsknie wspominając czasy odsiadki w kojcu. Wszelkie próby zgubienia się na spacerze były błyskawicznie udaremniane przez czujną i żwawą starkę. Nadszedł jednak dzień wybawienia: chłopiec zdołał umknąć, wykorzystując moment, kiedy opiekunka zagapiła się na przejeżdżający karawan. Schował się w ciasnej, zupełnie ciemnej wnęce pod schodkami zjeżdżalni. Szukano go przez kilka godzin. W akcji wziął udział cały plac zabaw, lecz nikt nie wpadł na pomysł, żeby zajrzeć do wnęki. Izydor, wykazując godny podziwu hart ducha, przetrzymał płaczliwe nawoływania matki i wyszedł dopiero, kiedy wytropiła go milicjantka z latarką. Wieczorem przyznał, że ukrył się, bo nie mógł już znieść opiekunki i jej ciągłego gadania o trupach. Matka odprawiła niańkę i wzięła dwuletni urlop, uznając, że nikt nie zadba o bezpieczeństwo chłopca lepiej niż ona sama.

Przede wszystkim sprawiła mu puszorek, czyli miniaturową uprzęż dla psów, którą musiał odtąd nosić na spacerach. Do puszorka przy-mocowana była mocna, trzymetrowa linka. Dzięki temu zestawowi wydatnie zmalało ryzyko, że Izydor gdzieś się zapodzieje albo wpadnie pod samochód. Chłopiec szybko dostosował się do sytuacji: chodził grzecznie przy nodze i prawie wcale nie ciągnął smyczy. Napotkane psy obwąchiwały go przyjaźnie. Matka nie miała tu zastrzeżeń, chroniła syna tylko przed kontaktem z innymi dziećmi, ponieważ mogły zarazić go ospą, różyczką lub świnką. Jeśli któreś zbliżyło się z nadto, prze-

ganiała je, tupiąc i prychając jak na kota: w efekcie Izydor przeszedł wszystkie te choroby znacznie później.

Czasem całymi tygodniami nie wychodzili z domu. Matka starała się zaszczepić synowi miłość do roślin, które hodowała w kilkudziesięciu doniczkach w jadalni, w kuchni i na balkonie. Uważając kwiaty za stworzenia czujące i myślące, stawiała je w hierarchii wyżej niż zwierzęta i ludzi.

– Po co mi przyjaciółki? – mówiła. – Rośliny nigdy mnie nie zawiodą, nie oszukają, nie oplotkują. Są łagodne i cierpliwe jak anioły.

Twierdziła, że o ile celem istnienia kwiatów jest dostarczanie ludziom rozkoszy estetycznych, o tyle owoce wzięły na siebie szlachetniejszą misję służenia nam jako pokarm. Nie do wiary, ale one wręcz pragną, byśmy je zrywali i jedli. Nie ma w przyrodzie wielu przypadków podobnie wzniosłego poświęcenia. Sięga ono tak daleko, że owoce, których nikt nie chce zjeść, popadają w melancholię i umierają. Za wszystkie ich dobrodziejstwa człowiek odpłaca bezmyślnym okrucieństwem. Matka przytaczała drastyczne przykłady maltretowania owoców. Sama postanowiła stworzyć mały, prywatny raj dla roślin. Starannie myła je i pielęgnowała, jak każda dobra gospodyni, ale oprócz tego głaskała je, całowała i przemawiała do nich z czułością. Chętnie uszyłaby im zimowe wdzianka – powstrzymywała ją tylko obawa przed drwinami męża. Kochała rośliny wstydliwie i skrycie: na myśl o nich robiło jej się ciepło pod sercem. Oczywiście mały synek wywoływał w niej uczucia podobne i niemal równie intensywne.

Ojciec zaangażował się w wychowywanie Izydora, kiedy ten skończył cztery lata. Z powodu ogromnego wzrostu i tuszy jawił się chłopcu jako istny tytan. Był nieco przygłuchy, nie słuchał więc zbyt uważnie tego, co do niego mówiono, a własne kwestie wypowiadał powoli i bardzo donośnie. W rozmowach poruszał często temat ścigania złodziei miedzianego drutu, co, jak podkreślał, należało do jego służbowych obowiązków. Pracując dla przedsiębiorstwa, które ponosiło ogromne straty wskutek kradzieży kabli, stale miał do czynienia ze skutkami niecnego procederu.

– Jedno centrum dozoru w kanalizacji – mówił z namaszczeniem – drugie przy szafkach rozdzielczych, a trzecie bezpośrednio na przyłączach.

Kiedyś wziął syna do pracy, żeby pokazać mu kanalizację, szafki i przyłącza.

– Najważniejszą rzeczą jest klucz uniwersalny – tłumaczył – który otwiera wszystkie szafki rozdzielcze w mieście i nic poza nimi. Mają go tylko pracownicy telekomunikacji.

Izydor zapytał, czy i on mógłby otrzymać taki klucz.

– Wpierw musisz skończyć sześć lat i dokładnie poznać przepisy BHP.

Przed szóstymi urodzinami Izydor przypomniał ojcu o obietnicy. Nie dostał uniwersalnego klucza, chociaż przepisy miał już wtedy w małym palcu: ojciec, zamiast bajek, które uważał za niepraktyczne, regularnie czytywał mu do snu *Państwowy Kodeks BHP*. Ulubionym ich działem była ochrona ppoż.: po paru tygodniach wspólnej lektury Izydor cytował z pamięci całe ustępy.

Dla syna ojciec był postacią heroiczną. W rzeczywistości jego funkcja sprowadzała się do spisywania protokołów z miejsc kradzieży. Nosił w sobie wielkie, nieusuwalne pokłady zgorzknienia, spowodowane tym, że jako ciężarowiec nigdy nie wygrał ważniejszych zawodów. Miał wielkiego pecha, ponieważ rozpoczął karierę równocześnie ze słynnym Bendrakowskim: startowali w tym samym klubie i w tej samej kategorii wagowej. Podczas gdy rywal rok po roku sięgał po mistrzostwo kraju, a co cztery lata jeździł na igrzyska, skąd przywiózł dwa srebrne medale, ojciec Izydora wiecznie tkwił w cieniu. Przed trzecią olimpiadą stanął wobec życiowej szansy: trenował z takim poświęceniem, że na turnieju kwalifikacyjnym uzyskał najlepszy wynik w podrzucie, wyprzedzając nawet Bendrakowskiego, który wygrał konkurs rwania. Ojciec Izydora do końca wierzył, że sędziowie i działacze, ustalający skład kadry olimpijskiej, postawią tym razem na niego, oni jednak ponownie wytypowali Bendrakowskiego. Wtedy ojciec postanowił przerwać karierę. Ogłaszając swoją decyzję na walnym zebraniu związku podnoszenia ciężarów, wygłosił pełną sarkazmu przemowę, zakończoną słowami: „Przebaczam, ale nigdy nie zapomnę”. Fakt, że Bendrakowski wrócił z olimpiady bez medalu, stanowił drobną, absolutnie niewystarczającą pociechę.

Wkrótce po rozstaniu ze sportem ojciec Izydora popadł w łagodny piwny alkoholizm, skutek czego solidnie się roztył. Przesiadywał całe godziny nad kuflem, wpatrując się w przypadkowego interlokutora i co pewien czas wzdychając: „Wiecznie drugi. A mogłem pojechać do

Tokio”. Z rzadka udawało mu się zainteresować kogoś tematem. Potrafił godzinami analizować swoje atuty (siła rąk) i braki (słabsze nogi) oraz braki Bendrakowskiego (arogancja), którego atuty, powszechnie znane i przypieczętowane wieloma sukcesami, nie wymagały bliższego omawiania. Wypowiadając nazwisko rywala, ojciec nie umiał powstrzymać bolesnego grymasu. W miarę upływu lat uraza, jaką żywił wobec trenerów i działaczy, okrzepła i zatraciła pierwotną dynamikę. Podświadomie był im nawet wdzięczny, bo krzywdząc go, sprawili, że życie stało się dla niego nagle zrozumiałe, z czym wcześniej miał problem.

Chociaż Izydor wiedział już, że telewizor nie jest żywą istotą, nadal uważał go za autorytet i wyrocznie w wielu kwestiach. Telewizor surowo piętnował przestępstwa popełniane przez różnych łotrów, takich jak prywaciarze czy skorumpowani dyrektorzy. Na szczęście istniały też postacie pozytywne. W czołówce oficjalnych rankingów znajdowali się milicjanci, którzy ofiarnie ścigali przestępców, oraz urzędnicy skarbowi wlepiający złoczyńcom domiar (zapewne rodzaj chłosty). Tak oto matka, ojciec i telewizor, przy nieznacznym udziale opiekunki, wpoili chłopcu fundamenty moralności. Na początku panował w tym względzie pewien chaos: złodzieje kabli szli ramię w ramię z oprawcami roślin, prywaciarz przepijał do dyrektora, a uzbrojony w lizak do kierowania ruchem ormowiec spuszczał im wszystkim domiar na gołe tyłki. Chcąc usystematyzować ten etyczny rozgardiasz, pięcioletni Izydor wziął gruby zeszyt, podzielił strony na dwie rubryki i zaczął sporządzać listę dobrych i złych elementów rzeczywistości. Wówczas wierzył jeszcze, że świat jest w swej substancji dobry, zło zaś stanowi jedynie szkodliwy naddatek, jak gdyby ontologiczny liszaj, możliwy do usunięcia odpowiednimi środkami. Wyjątek stanowili Niemcy, których zło było immanentne i nieuleczalne (co do tego zgadzały się ze sobą wszystkie filmy, tak wschodnie, jak i zachodnie), ale na szczęście mieszkali oni daleko, bo aż za granicą.

Skoro tylko jego życie zostało ujęte w karby regulujących norm, zapragnął obdzielić innych zdobytą wiedzę. Ujrzawszy w parku dwóch braci, którzy skakali z mocno rozbujanых huśtawek, Izydor stanął przed nimi i wygłosił obszerną pogadankę na temat nieroztropności takiej zabawy. Huśtawek w ogóle nie należy użytkować na stojąco: można się ześlizgnąć, spaść i boleśnie potłuc, a poza tym brudzi się

butami siedzisko ze szkodą dla czystości spodenek kolejnych użytkowników. Zeskakiwanie niesie za sobą szereg poważnych zagrożeń: można połamać nogi i zebra, doznać wstrząśnienia mózgu lub okaleczyć dziecko przechodzące akurat przy huśtawce. No i poza wszystkim to zły przykład dla młodszych.

Bracia z ciekawością wysłuchali przemowy, po czym zaraz wznowili skoki. Izydor, przekonawszy się, że interwencje bezpośrednie nie są zbyt skuteczne, postanowił zainicjować krzewienie cnót obywatelskich za pomocą własnoręcznie rysowanych plakatów. Sposobność przedstawienia ich światu nadarzyła się pewnej soboty, kiedy Izydor został sam w domu i łamiąc zakaz matki, wyszedł na balkon. Przez moment przyglądał się chłopakom biegającym po podwórzu za piłką, następnie poinformował ich, że nie powinni kopać jej tak mocno, bo mogą stłuc szybę, co w rażący sposób uchybiłoby przepisom BHP. Piłkarze, otrząsnąwszy się ze zdziwienia, powiedzieli, że coś-tam z tego i że Izydor ma się coś-tam, bo inaczej oni przyjdą do niego i zrobią coś-tam (nie rozumiał połowy słów, których używali). Izydor odparł na to, że chętnie ich zaprosi. Chłopcy przestali grać, a jeden z nich zapytał, czy starych nie ma w chacie. Izydor domyślił się, że chodzi o rodziców, i skinął głową. Po chwili, łamiąc kolejny zakaz, tak surowy i zarazem oczywisty, że nigdy niesformułowany, wpuścił czterech umorusanych piłkarzy do mieszkania.

– Muszę wam coś pokazać – powiedział.

Zaprowadziwszy ich do swojego pokoju, z dumą zaprezentował najnowszy plakat:

BOLI CIĘ GŁOWA?
ZAMIAST ŁYKAĆ TABLETKĘ
WYJDŹ NA SPACER!

Chłopcy przez chwilę bez zrozumienia patrzyli na narysowanego kredką krasnoludka, toczącego przed sobą dużą, przekreśloną tabletkę, potem porozglądali się po mieszkaniu. Pierwszy przetrząsnął lodówkę i wyjadł palcem dżem ze słoika, drugi wysypał sportowe medale ojca,

najbardziej błyszczący chowając do kieszeni, trzeci wylał na siebie flakonik perfum, a czwarty pożarł karłowate pomidorki pieczołowicie hodowane przez matkę. Izydor z niepokojem przyglądał się poczynaniom gości, ale nie chcąc okazać się nieuprzejmy, wyjątkowo powstrzymał się od uwag i przestróg. Kiedy rozległ się zgrzyt klucza w zamku, chłopcy błyskawicznie pobiegli do przedpokoju i wtoczyli się do szafy. Byli pewni, że Izydor postąpi w tej sytuacji zgodnie z przyjętymi procedurami i zdrowym rozsądkiem, to znaczy, odwróciwszy uwagę matki, wypuści ich z mieszkania. Stało się jednak inaczej, bo matka natychmiast spostrzegła ślady czyjejś obecności i kategorycznie zażądała wyjaśnień. Izydor zamachał ręką na znak, że wszystko jest w porządku.

– Odwiedzili mnie czterej nowi przyjaciele – oświadczył z dumą.

Matka osłupiała. Nie umiała zaakceptować potwornego faktu, że jakieś obce, szkodnicze istnienia buszowały po najświętszym przybytku jej domu, udzieliła więc synowi ostrej reprimendy. Zakończyła stwierdzeniem, że nie może być mowy o przyjaciółach w odniesieniu do indywidualów, które zostawiają po sobie taki bałagan. Izydor roześmiał się na to radośnie i zawołał:

– Ależ mamó, oni jeszcze nie wyszli: dla zabawy schowali się w szafie.

Po powrocie ojca i oszacowaniu strat – w pokoju jadalnym odbył się rodzicielski sąd nad Izydorem. Uznawszy, że ojciec ma rękę za ciężką, a matka – za lekką, podsądnemu darowano lanie i ukarano go zamknięciem na godzinę w szafie – tej samej, z której nieco wcześniej matka, dobywając niemiłosiernie wysokich tonów, wypędziła jego czterech nowych przyjaciół.

Kara okazała się chybiona, ponieważ w ciemnej szafie Izydor czuł się doskonale. Był tam sam ze sobą, i to tak, jak nigdy dotąd – może z wyjątkiem trzech godzin spędzonych kiedyś pod zjeżdżalnią. Miał poczucie pełnego zintegrowania z czasem i przestrzenią. Po upływie godziny, która zdawała się krótsza niż minuta i zarazem dłuższa niż miesiąc, odmówił opuszczenia szafy, skąd matka musiała wywabić go drożdżówką.

Od tamtego dnia żadne przestrogi ani zakazy nie mogły zatrzymać go w domu. Codziennie wymykał się na podwórko, raz po raz zapuszczając się dalej. Wiedział dobrze, jakie niebezpieczeństwa czyhają na ulicy: samochody, motocykle, rowery, hulajnogi, kidnaperzy, wariaci, Cyganki, żebracy, a także psy, szczury, osy, muchy, deszcz, grad, kurz

i pyłki kwiatowe. Izydor ufał jednak, że wrodzona i nabyta ostrożność uchroni go przed zagrożeniami. Zresztą w razie czego mógł liczyć na pomoc „przyjaciół”. Co prawda już po kilku dniach, obserwując liczne przejawy ich nadzwyczajnej lekkomyślności, uznał, że to raczej na nim spoczywa obowiązek czuwania nad ich bezpieczeństwem. Kiedy na przykład jeden z nich złapał dużą ćmę, Izydor natychmiast poinformował go, że proszek ze skrzydeł tych owadów ma właściwości trujące i może spowodować ślepotę. Przyjaciele uważnie słuchali jego wywodów, można wręcz powiedzieć, że chłonęli każde słowo. Następnie ten, który złapał ćmę, powiedział: „Wypuszczam ćmę”, a inny poprosił Izydora, żeby zamknął oczy i otworzył usta, bo ma dla niego cukierka. Wypluwszy półżywego, zaślinionego owada, Izydor zawołał: „O rajušku, akurat ta sama ćma wleciała mi do buzi!” – po czym poszedł umyć zęby.

Jego bezbrzeżna naiwność napełniała czterech przyjaciół równie bezbrzeżnym zdumieniem. Sądziłi, że Izydor kpi sobie z nich w żywe oczy i wciąż na nowo sprawdzali, jak daleko gotów jest się posunąć. Robił wszystko, czego chcieli, pod warunkiem że opakowali to w pozory bezpieczeństwa i dobrych intencji. W przeciwnym razie potrafił stanowczo odmówić i jeszcze zaserwować im kazanie. Ostatecznie doszli do wniosku, że Izydor jednak nie zgrywa frajera – co byłoby nawet dowcipne – lecz jest nim naprawdę. Wtedy szczerze go znienawidzili.

Czy da się wymierzyć granice ludzkiej łatwowierności? Przyjaciele starali się jak mogli, ale zawsze, kiedy wydawało się, że ich łódka dobija wreszcie do jakiegoś brzegu, otwierał się przed nimi nowy, niezmierny horyzont. Powoli doprowadzało ich to do szału. Prześcigali się w pomysłach, poświęcając na ich realizację całą energię i wolny czas. Jednak obojętnie, czy kazali Izydorowi podpalić paczkę „pachnących ziół leczniczych” na wycieraczkę pewnej staruszki, czy pójść do rodziców chłopca, który zgubił berecik, z informacją, że ich syn wpadł pod ciężarówkę i został po nim tylko berecik, czy też stanąć na skrzyżowaniu z milicyjnym lizakiem i kierować ruchem – on z ochotą spełniał wszystkie te polecenia, zbierał niezаслужone ciężgi, a następnie bez podejrzeń przyjmował pokrętnie i niedorzeczne wyjaśnienia przyjaciół. Nie mogli znieść jego jasnego, czystego wzroku, zezowali więc plugawie, zgrzytali zębami i obracali w ustach ordynarne przekleństwa. Również pod tym względem Izydor stanowił osobliwy wyjątek: nie

dość, że nie znał żadnych brzydkich słów – co takim maminsynkom niekiedy się zdarzało – to jeszcze nijak nie wyczuwał zawartego w nich wulgarno-sprośnego potencjału. Byle picuś lub trzyletni brzdąc, podłapawszy gdzieś słówka „sisiol” czy „dupa”, od razu akcentował je ze śliskim uśmiezkiem człowieka wtajemniczonego. Tymczasem Izydor nawet słowa „chuj” i „pizda” wypowiadał tak, jakby mówił „ogórek” czy „deseczka”. Oczywiście można to było wykorzystać, posyłając go do sklepu po „jebasy” lub „pierdolnice”, ale po trzecim razie żart nikogo już nie śmieszył, a zresztą Izydor, zwyzywany przez ekspedientkę, zorientował się, że coś tu nie gra, i nie chciał więcej realizować tego rodzaju sprawunków.

Przyjaciele najchętniej skopali by Izydorowi tyłek, powstrzymywała ich jednak obawa przed jego ogromnym ojcem. W sukurs przyszła im fala upałów. Izydor, jak zawsze wrażliwy na cierpienia flory, zaproponował chłopakom, żeby przynieśli konewki i wspólnie podlali usychający krzew na pobliskim skwerze. Po drodze przyjaciele zgarniali napotkane dzieci, aż zebrała się spora gromadka. Na miejscu orzekli, że najlepiej będzie, jeśli Izydor sam podleje krzak.

– Słusznie – przytaknął Izydor. Wszedł na murek i wygłosił krótką przemowę. Zwracając się bezpośrednio do krzewu („Drogi krzaczku”), powiedział, że w związku z dokuczającą mu suszą, dzieci z ulicy Kamienicznej, które go kochają, postanowiły uchronić go przed zwiędnięciem.

Po skończonej inwokacji z namaszczeniem opróżnił wszystkie konewki. Dzieci, które pierwotnie zamierzały pośmiać się z Izydora, dały się zauroczyć jego słowami. Udział w akcji ocalenia krzewu napawał je dumą. Jednak czterej wolni od sentymentów przyjaciele ujęli swoje konewki, a najstarszy z nich powiedział:

– Właśnie załatwiłeś ten krzak na amen. Najpóźniej jutro zdechnie.

– Jak to?

– Rozpuściliśmy w wodzie chlor.

Inne dzieci przysłuchiwały im się ze zgrozą, kilkoro najmłodszych zaczęło płakać.

– Dlaczego to zrobiliście? – spytał Izydor.

– Dlatego, że cię, kurwa, nie lubimy – odparł przyjaciel. – Jesteś lalusz, cwel, miauczydupa i totalnie beznadziejny pizdryk.

W drodze powrotnej dzieci nieświadomie uformowały długi kondukt. Izidor pozostał na skwerze i obserwował skazaną na śmierć roślinę, która sterczała z ziemi niczym szydercza i bezużyteczna parodia drzewa wiadomości. Trujące myśli powoli, lecz nieubłaganie wżerały się w jego umysł, jak skażona chlorem woda w korzenie krzewu. Poczucie krzywdy nie jest dla pięciolatka czymś nowym, tu jednak dochodziła przykra świadomość, że grono z pozoru bliskich mu i przyjaznych osób dołożyło wielu starań, żeby go pognębić. Z taką myślą nieuchronnie wiąże się podejrzenie, że podobny cel mogą mieć też inni ludzie, być może wszyscy, z którymi się stykamy. Czy wobec tego da się jeszcze utrzymać wiarę w to, że świat jest z gruntu dobry?

Nagroda w Konkursie Literackim Miasta Gdańska im. Bolesława
Faca za rok 2014.



Książka została wydana dzięki mecenatowi Miasta Gdańska.

© Marek Szalsza, 2015, wydanie I, Gdańsk

Opracowanie książki i przygotowanie do druku – zespół Wydawnictwa
w Podwórku w składzie: Dorota Szmit, Stanisław Danecki

Ilustracja na okładce: Sandro Del-Prete *Das gekrümmte Schachbrett*, 1975
(© Sandro Del-Prete sandrodelprete.com)

Wydawnictwo w Podwórku sp.j.

adres do korespondencji:

ul. Ludwika Waryńskiego 44 a/16, 80-242 Gdańsk

tel. 731 952 067, faks (58) 743 63 96

e-mail: wydawnictwo@wpodworku.pl

www.wpodworku.pl

ISBN 978-83-64134-08-1

Schylek szatragu autorstwa Marka Szalszy to powieść satyryczno-obyczajowa, a więc należy do gatunku dziś już dosyć rzadkiego. Cóż zatem staje się w niej obiektem głęboko ironicznym i zarazem niezwykle dociekliwych przedstawień oraz roztrząsań? Najogólniej rzecz można, iż ludzka głupota: zestandaryzowana i zmanipulowana świadomość człowieka, zbanalizowane przez media jego wyobrażenia o świecie i sobie samym, zadowalanie się namiastkami prawdy i powierzchowność międzyludzkich relacji. Warto zauważyć przy tym, iż narracja w tej książce obywateli się w zasadzie bez moralistycznych wtrętów i komentarzy; jej autor pozwala bohaterom mówić ich własnym językiem i to on (ów język) właśnie charakteryzuje ich najdogłębniej.

Także od strony fabularnej *Schylek szatragu* to dzieło niezwykle atrakcyjne, bo w znacznym stopniu zbudowane na schemacie powieści kryminalnej, a nawet szpiegowskiej; intryga goni tu intrygę, jedno wydarzenie zdaje się ciekawsze od drugiego. Żywa wyobraźnia, humor, realizm i gorzka ironia stanowią o niepowtarzalnych walorach tej książki.

Kazimierz Nowosielski

Marek Szalsza (1967), pisarz i tłumacz. Mieszkał w Katowicach, Gdańsku, Wiedniu; obecnie w Sopocie. Publikował opowiadania w czasopiśmie i antologiach. *Schylek szatragu* to jego pierwsza powieść.

Książka nagrodzona w Konkursie Literackim Miasta Gdańska im. Bolesława Faca za rok 2014.



ISBN 978-83-64134-08-1



9 788364 134081 >